

Jerzy Pelc

Mistrz : o Julianie Krzyżanowskim

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 69/1, 3-8

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JERZY PELC

MISTRZ

O JULIANIE KRZYŻANOWSKIM *

Uczniowie i asystenci nazywali go Mistrzem, ale chciałoby się raczej powiedzieć: czeladnicy mówili o nim „Majster”. Weszliśmy od razu, młodzi terminatorzy, w nurt prywatnego życia rodziny Krzyżanowskich. Izbą czeladną był pokój profesora w jego mieszkaniu na Brzozowej 12, miejsce okupacyjnych zebrań tajnych kompletów uniwersyteckich. Okoliczności i warunki sprawiły, że niemal od pierwszego spotkania kilkusobowa gromadka poczuła się jak domownicy. Inne komplety zbierały się po mieszkaniach studentów, Krzyżanowski — człowiek nie unikający ryzyka — wykladał u siebie w domu. Wykład włączał się więc niejako w ciąg domowych czynności. Profesor wychodził do oczekujących go „młodzianków” — jak nas nazywał — w rannych pantoflach i w tabaczkowym szlafroku, jeśli zajęcia wypadają bezpośrednio po poobiedniej drzemce, albo w narzuconej na ubranie czarnej jesionce, gdy w mieszkaniu było zimno. Czasem — ale nie za każdym razem — pani Irena, żona profesora, niezapomniany, wspinały człowiek, wносиła maleńką filiżaneczkę kawy, nieosiągalny podówcześnie rarytas, a profesor wypijając ją bez skrępowania podczas wykładu, w obecności zgromadzonych, dawał jak gdyby do poznania, że nie traktuje ich jak gości. Nie robił ceremonii, był naturalny.

Tak samo był naturalny i nie krępował się ani nie robił ceremonii,

* Tekst wygłoszony na sesji naukowej, w pierwszą rocznicę śmierci prof. Juliana Krzyżanowskiego zorganizowanej przez Komitet Nauk o Literaturze Polskiej PAN, Uniwersytet Warszawski, Instytut Badań Literackich PAN i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza (Warszawa, 19—20 V 1977).

Gdy organizatorzy uroczystości zaszczytli mnie zaproszeniem do udziału w sesji naukowej i do odczytania referatu o Julianie Krzyżanowskim jako nauczycielu, uprzedziłem, że nie stać mnie na opracowanie odczytu naukowego, bo od dawna nie zajmuję się problemami polonistycznymi, natomiast mógłbym — a ze względów uczuciowych bardzo bym pragnął — podzielić się paru refleksjami o charakterze osobistym. Uzyskałem na to zgodę i stąd wśród innych wystąpień znalazło się to właśnie, całkiem od tamtych odmienne, bo nie należące do nauki, lecz do sfery wspomnień.

gdy opowiadał o swoich dobrych znajomych: książkach i pisarzach, zarówno tych sprzed wieków, jak i dzisiejszych. W tej gawędzie raczej niż wykładzie wyrażały się jego osobiste sympatie i antypatie, przewijały złośliwości i uszczypliwości, a język miał cięty i ani chciał, ani umiał się miarkować. Ale dzięki temu, że nie celebrował na pokaz obiektywizmu naukowego, że nie gardził plotką, że nie kierował się zasadą „*de mortuis nil nisi bene*”, nie było w jego opowiadaniu ludzi ani dzieł umarłych. Nie wprowadzał nas do panteonu wiedzy ani nie odprawiał *missa sollemnis* w świątyni poezji — może ku rozczarowaniu tej lub owej egzaltowanej adeptki polonistyki. Nigdy też nie występował w roli apostoła nauki ani kapłana zanoszącego modły przed ołtarze sztuki. Stąd zapewne powstało wrażenie, któremu kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz dał wyraz w jednej ze swych „Rozmów o książkach”, pisząc o sobie, że on sam nie zna się na poezji, ale ją lubi, gdy profesor Krzyżanowski zna się na niej, ale jej nie lubi. Jest to wrażenie błędne. Lubił poezję, kolekcjonował ją nie tylko w druku, ale w maszynopisach i rękopisach, potrzebował jej na co dzień, tyle że nigdy nie kokietował swym zamiłowaniem, nie przybierał pozy smakosza, pięknoducha, estety, konesera sztuki; chyba zresztą znacznie mniej był wrażliwy na malarstwo, rzeźbę, muzykę i architekturę. Lubił też poetów, szukał z nimi kontaktu, przyciągał do siebie, zwłaszcza młodych. Był jak ogrodnik, który kocha kwiaty i żyje ich pięknem, ale na co dzień, nie od święta — i zapewne dlatego nieuważnym oczom wydaje się o ileż obojętniejszy i mniej subtelny od przypadkowego gościa, który przystaje na chwilę z westchnieniem zachwytu.

Stosunek nauczyciela do rzeczy, których uczy, także stosunek uczuciowy, bodajże silniej i bardziej bezpośrednio oddziałuje na uczniów niż sama treść pouczeń. Przyszliśmy wtedy z różnych szkół, kształtowani przez różnych polonistów gimnazjalnych, wychowani na podręcznikach licealnych, których styl nie mógł nie wywrzeć na nas wpływu. Toteż dla niejednego było zaskoczeniem, dla niejednej może i wstrząsem, że ten znany profesor uniwersytetu nie wprowadza nas do muzeum, że historia literatury nie jest dlań galerią szacownych, ale martwych eksponatów.

Nie tylko stosunek do własnego przedmiotu, ale w ogóle sposób bycia: profesora, nauczyciela, dowódcy, majstra — to jest to właśnie, co od pierwszej chwili daje się wyczuć, co decyduje o zaufaniu, szacunku, posłuchu, sympatii wobec jego osoby albo o nieufności, lekceważeniu, niechęci, i pośrednio a niepostrzeżenie przenosi się na te rzeczy, sprawy i cele, których reprezentantem jest ów przewodnik, które pieczętuje swym autorytetem, osobowością i kompetencją.

Krzyżanowski jako przywódca grupy miał dar szczególny: umiał pogodzić sprzeczności — bezceremonialną poufałość wobec studentów oraz dystans słuchaczy wobec profesora, a jedno i drugie rozgrzane sympatią: bo to, że naprawdę bardzo lubi młodzież i dobrze się czuje w jej towarzystwie, wiedział każdy od pierwszego spotkania. Po paru dniach znał

nasze imiona i zwracał się do nas na „ty” — w połowie, tzn. albo *per* „młodzianku drogi”, albo — powiedzmy — „Jacku drogi, niech pan ...” Tymczasem nasi własni profesorowie gimnazjalni znani przecież od lat, z chwilą gdy zdaliśmy maturę, przechodzili oficjalnie na „pan”, a i przedtem mówili nam po nazwisku i w trzeciej osobie.

Z tą samą bezceremonialną poufałością poruszał się Krzyżanowski po historii literatury, która nie była dlań salonem, gdzie obowiązują nieskazitelne maniery, a zwłaszcza kurtuazja wobec dam, wyrażająca się prawie-niem komplementów. Deotymie nigdy nie oszczędził epitetu „grafomanka warszawska”, z przekąsem też mówił o „pani Kossak”, autorce *Krzyżowców*, nie mogąc jej darować chybionych archaizmów. Powstała tedy legenda, że Krzyżanowski jest wrogiem niewiast parających się piórem i że nie toleruje kobiet na studiach. Była w tym zaledwie część prawdy: niejednokrotnie przecież z wielkim uznaniem wypowiadał się o talencie wielu autorek, a zapatrzonym w niego polonistkom kilkunastu roczników odplacał za uwielbienie szczerą sympatią i serdecznością.

Pogłoski o rzekomym antyfeminizmie Krzyżanowskiego, powtarzane przez wystraszone studentki po nieudanych egzaminach, miały chyba źródło w jego hierarchii wartości i postawie — zapewne bezwiednych, irracjonalnych, ukrytych pod powierzchnią sądów i ocen, które formułował w sposób świadomy. Były może po części wypadkową tradycyjnych opinii i ocen środowiska jego młodości, które kobiecie wyznaczało określoną rolę: matki i żony, siostry i córki, ukochanej wreszcie, i w tej roli darzyło ją miłością, uznaniem, respektem, szacunkiem, nie widząc w niej natomiast, a przynajmniej nie zawsze widząc towarzyszkę pracy zawodowej, rzadko — pełnowartościową — na równi z mężczyznami — pracownicę; nigdy niemal — zwierzchniczkę. Do warsztatu czy, jak wymawiał: do „warstatu”, przyjmuje się terminatorów, a nie terminatorki, samodzielne zadania powierza się czeladnikom, a nie czeladniczkom — taki jest odwieczny rzeczy porządek, którego nie narusza to, że czasem pierwszą osobą bywa nie majster, lecz majstrowa. Zresztą w tym warsztacie, gdzie on rządził, nigdy bodajże tak się nie zdarzyło.

Ale właśnie był to warsztat, a nie cicha pracownia uczonego, nie wieża z kości słoniowej, nie samotne miejsce medytacji, nie odosobnienie sposobne skupieniu. Gdziekolwiek się zjawiał, natychmiast zakasywano rękawy, szły w ruch narzędzia, rozlegał się stuk młotków i zgrzyt piły — przenośnie lub dosłownie, jak wtedy gdy odbudowywaliśmy lokal seminaryjny w gmachu porektorskim w latach 1945 i 1946, czy jak wtedy gdy zorganizował, nadzorował i doprowadził do końca odbudowę Pałacu Staszica.

Ci, których zapędził do wspólnej roboty, mieli bezustannie przed oczyma wzór pracowitości i wydajności. Wszelkie marazmy i spleeny, oczekiwanie na nastrój do pracy czy na natchnienie pierzchały zawstydzone przed tą dosłownie stale zadyszana energią. Krzyżanowski nie wchodził,

tylko wpadał do zakładu, nie siedział przy biurku, tylko biegał od szafy do półki, od regału do biurka, na chwilę przysiadł — radio grało, ludzie rozmawiali, dochodził gwar rozmów studenckich, a on, nierządkiem trzymając na lewym kolanie swego, jak go nazywał, „infantyłka”, gaworzącego lub płaczącego (oby tylko), równym drobnym pismem pospiesznie wypełniał stronic swoje grubych brulionów lub kartoniki formatu pocztówki. Tak powstawały jego dzieła. Był jak stary wiarus na biwaku, któremu nawet najkrótszy postój i najniewygodniejsze miejsce wystarczą, by przysiąść z menażką i manierką.

Nie umiał też ani nie chciał zrozumieć tych, którzy do pracy, do skupienia potrzebowali odpowiednich warunków: Majster miał ich za mamin-synków. Bywało, że asystenci — czasem i po doktoracie — słyszeli wymruczane do nie istniejącego rozmówcy zdanie: „Zdaje się, że trzeba będzie całe to towarzystwo rozpędzić”. I nikt się nie obrażał, bo bliscy znali i akceptowali tę prawdę, że Krzyżanowski by w a nieznośny, ale jest kochany. Tym, którzy stali od niego dalej, nieraz się naraził — powiedzmy to szczerze — swymi nietaktami, niejednego zraził do siebie, ale zazwyczaj na krótko, bo zarazem potrafił ujmować swym wdziękiem, rzec by można: zawadiackim. Czuło się, że jest to ktoś dobry do wybitki i do wypitki; a nietakty pamięta się wszak zazwyczaj tym, którzy należą do typu ludzi dobrze wychowanych, wybacza zaś łatwo tym, których motorem jest zamaszysty temperament i kipiące uczucie.

Ten właśnie temperament sprawiał, że Krzyżanowski żył z rozmachem, intensywnie, szybko; był zaprzeczeniem przysłowia „co nagle, to po diable” — także w sprawach nauki.

Taki styl życia silnie działa na otoczenie, urokiem egzotyki duchowej przyciąga: niezdecydowanych, hamletyzujących, pełnych wątpliwości, niezdolnych do czynu, nie mających odwagi zacząć pracy, nie umiejących jej doprowadzić do końca. Taka osobowość i taki sposób bycia wywierają wpływ nauczycielski i wychowawczy. „Nie święci garnki lepią” — powtarzał często Krzyżanowski, powierzając oniemiałemu czeladnikowi zadanie, zdawałoby się, ponad jego wątłe siły. Sam był optymistą, a przy tym lubił grać o dużą stawkę i nie cofał się przed wysoką przeszkodą. Jak często ludzie czynu, zajmował postawę pragmatyczną, będącą odwrotnością malkontenctwa: w sprawach publicznych dostrzegał i wy dobywał to, co łączy, a nie to, co dzieli, nie popadając jednak w oportu-nizm, ale też nie odcinając sobie możliwości współdziałania pryncypialną bezkompromisowością.

Owe „nie święci garnki lepią” były to nieliczne „*verba*”, które „*docent*”, bo najczęściej otoczenie widziało „*exempla*”, które „*trahunt*”. Stał się więc, nie wiadomo kiedy, samozwańcem, nieformalnym, ale jakże faktycznym wychowawcą każdego kompletu polonistycznego czasu okupacji niemieckiej. Był kierownikiem całej polonistyki podziemnej i nie mianowanym ani nie wybranym, ale za to jakże dzielnym i ener-

gicznym dziekanem tajnej humanistyki warszawskiej, której dziekan *ex officio* był postacią bierną i stąd nieznaną. Na wygnaniu, po klęsce Powstania Warszawskiego, gdy znaleźliśmy się w Krakowie, od pierwszej chwili zaczął działać jak ktoś odpowiedzialny za sprawy całego Uniwersytetu Warszawskiego i za losy jego wysiedlonych studentów. Tak jak przedtem w Warszawie, i tutaj troszczył się o to, czy mają gdzie mieszkać, co jeść, w co się ubrać — a w niczym nie przypominał niepraktycznego profesora z anegdoty. Przeciwnie, sobie tylko wiadomymi sposobami umiał spod ziemi wydobyć pieniądze, a z okazywaniem pomocy nie czekał, aż się kto o nią zwróci. Był dobrym, zapobiegliwym gospodarzem, nigdy też nie oddzielał spraw ducha od codziennych potrzeb życiowych. Znalazło to swój symboliczny wyraz: gdy z początkiem listopada 1945 wracaliśmy z Krakowa do Warszawy konwojując łupy wojenne, w jednym wagonie znalazły się obok siebie rzeczy dla ciała: tony węgla dla seminarium i dla profesora oraz mnóstwo mebli czy raczej gratów, i rzeczy dla ducha: tony książek zdobycznych i pokaźna bateria przednich nalewek.

Nie tylko na konsultacje chodziło się do profesora, nie tylko na teoretyczne dyskusje, szło się do niego ze wszystkim, jak do człowieka, który zna życie, z niejednego pieca chleb jadł, bywał pod wozem i swoje przecierpiał.

Pamiętam ów ranek 16 maja, gdy wchodzącemu do przedpokoju (a była to wspólna sień Zakładu i pierwszego powojennego mieszkania Krzyżanowskich) wyszedł mi naprzeciw profesor, zmienionym głosem wyrzekł jedno zdanie: „Żona moja zmarła tej nocy”, i gdy w chwilę po tym przysiedliśmy na jego tapczanie i objąwszy go, próbowałem znaleźć słowa współczucia i pociechy, powiedział, wskazując ruchem głowy na przyległy pokój, w którym leżała zmarła: „Zawsze mi mówiła: »Ty jesteś twardy, ty wszystko wytrzymasz«”.

W istocie był silny i po męsku twardy, może nawet kanciasty, ale zarazem pełen ciepła i serdeczności. To właśnie sprawiło, że ludzie garnęli się do niego szukając oparcia i że — choć nie odznaczał się szczególnie atrakcyjną powierzchownością — to przecież fascynował kobiety: mocą indywidualności, wewnętrznym dynamizmem, ujmującym zachowaniem, urokiem dojrzałości i zarazem czarem chłopięcej nieobliczalnej przekory. Był bardzo polski przez to, że spotkały się w nim dawne cechy narodowe — sarmackiej rozrzutnej fantazji i butnej sobiepańskiej szlachetczyzny — z nowymi zaletami, które często wschodzą w trudnych warunkach życia: w biedzie wysadzonych z siodła albo w znoju dźwigających się z plebejskiego stanu, a więc z zaradnością, zabiegliwością, pracowitością oraz wytrwałością i uporem w skrzętnym gromadzeniu dóbr, tak duchowych jak materialnych, zarówno dla siebie jak i dla innych.

O tych dwojakich tradycjach, szlacheckich i plebejskich, myślało się

też, słuchając Krzyżanowskiego, urodzonego gawędziarza, mistrza barwności i jędrnej dosadności słowa, wyśmienitego kompana przy stole, niezrównanego towarzysza wędrówek. Było w tej barwnej postaci i coś, co przywodziło na pamięć słowa o duszy anielskiej i czerepie rubasznym, i coś, co kazało się domyślać wojskowej przeszłości w młodych latach. Czy tylko przeszłości: podczas okupacji dawał codziennie przykład patriotyzmu i odwagi, która w czasie Powstania przeszła w brawurę, co przypłacił postrzałem w nogi.

Dzięki wielkiemu talentowi i wielkiej wiedzy może można stać się wielkim uczonym. Ale aby — jak Krzyżanowski — być zarazem wielkim uczonym i nauczycielem, i wychowawcą, i organizatorem zbiorowych przedsięwzięć badawczych, a to wszystko sumuje się w krótkiej nazwie „Mistrz”, którą obdarzano go powszechnie — trzeba jeszcze wielkiej indywidualności. A wielka indywidualność nie składa się z samych wielkich rzeczy — dodatnich czy ujemnych. Dlatego była tu mowa o dodatnich i o ujemnych, o wielkich i o małych. Tyle że ich suma i układ są niepowtarzalne i niezapomniane.

Warszawa, maj 1977